

Zazdrość o mróz, czyli wspomnienie wakacji

25 grudnia 2008

Kiedy w ostatnie wakacje spełniałam jedno ze swoich największych marzeń nie podejrzewałam, że skutkiem może być tęsknota za zimą w zimie. I zazdrość względem bliźniego, która jak wszyscy wiemy, jest paskudną cechą.

MARZENIE Z MAPY

Najpierw było marzenie: typowo dziecięce, wyrosłe z lektur przygodowych książek z serią Alfreda Szklarskiego na czele. Z fascynacji mapami, którą zaraził mnie ojciec. Odkąd pamiętam, kupował mi atlasy ukazujące w najróżniejszy sposób naszą planetę, która wówczas wydawała mi się nieograniczenie wielka.

By lepiej to pojąć, spróbuj spojrzeć na sprawę z mojego punktu widzenia. Miałam pięć, może sześć lat. Wychowywałam się w małym miasteczku na wschodzie Polski, a najodleglejszym miastem, w którym zdarzyło mi się być, była Warszawa. Kontury Afryki czy Azji były dla mnie symbolem czegoś magicznego. Ponieważ byłam dzieckiem, najbardziej lubiłam kształt Ameryki Północnej, która kusiła magią Disneylandu – ojczyzny kolorowych bajek, które poznawałam w wersji czarno białej na ekranie naszego starego telewizora.

Potem zakochałam się w wyspach. Były dla mnie czymś niezwykłym: z punktu widzenia małoletniego obserwatora map były to skrawki lądu, które jakimś cudem utrzymywały się w określonym miejscu na morzu czy oceanie. Najbardziej ciekawiły mnie te tajemnicze, na których nie wyrosły modne metropolie. W ten sposób moje marzenia dotarły do Svalbardu – archipelagu położonego daleko na północy.

MARZENIE O SPITSBERGENIE

Svalbard, a zwłaszcza wyspa Spitsbergen przyciągające mnie pobrzmiewającą odległością nazwą stał się moim nieśmiałym marzeniem. Lata minęły i mój obraz kuli ziemskiej trochę zmałał. Przez jakiś czas miałam obsesję na punkcie tanich linii lotniczych. Niemal codziennie odwiedzałam ich strony, szukając atrakcyjnych promocji. Nadrabiałam zaległości z dzieciństwa.

– Myślisz, że pojedziemy kiedyś na Spitsbergen? – zapytałam kiedyś męża. – Wiesz, ciężko będzie – odparł uczciwie. – Bo jak mielibyśmy się tam dostać?

Statkiem, pomyślałam. Ale sama dobrze wiedziałam, że wyprawa, o której marzę, wymaga większych przygotowań i planów niż tani przelot do Włoch. Spitsbergen nie spędzał mi zresztą snu z powiek. Był lekko uśpionym marzeniem, spychanym w głąb świadomości przez pragmatyzm dnia codziennego.

MARZENIE SPEŁNIONE

Michał spadł mi jak z nieba. Kilka lat wcześniej byliśmy we trójkę na Ukrainie. Dziś przyjeżdżał z Norwegii, kraju do którego wyjechał po ukończeniu studiów. Opowiadał o miejscach, które chciałby odwiedzić i do których dostanie się ułatwiałoby mu w pewien sposób obecne miejsce zamieszkania.

– No i jest taki archipelag, nazywa się Svalbard... – kończył wymieniać swoje geograficzne cele. Wpadłam mu w słowo. Mniej więcej pięć minut później było już postanowione, że musimy się wybrać na Spitsbergen.

Przygotowania zaczęły się rok przed wyprawą. Koszta nie były jak na naszą kieszeń małe i trzeba było je rozłożyć. Najpierw zamówienie biletów Oslo-Longyearbyen, potem gdy pojawiła się korzystna promocja rezerwacja na lot Kraków-Oslo. Zakup nowego aparatu fotograficznego. Odpowiednie obuwie. Zapewnianie wszystkich dookoła, że wcale nam nie odbiło i że nie zamarzniemy. – Tam w lecie jest nawet pięć stopni powyżej

zera! – brzmiał mój koronny argument. Nasza grupa liczyła osiem osób. Więcej nie udało się zwerbować – podobno szkoda lata.

Kiedy wylatywaliśmy z Oslo, w stolicy Norwegii było upalnie. W położonym daleko na północy Tromsø, w którym mieliśmy przesiadkę, wysiadaliśmy z samolotu w ciepłych swetrach. Podczas dwugodzinnej przerwy dzielącej nas od startu samolotu mającego nas przenieść do celu podróży obejrzelśmy pośpiesznie małe miasteczko o księżycowym krajobrazie. Było już po godzinie 22, ale tutaj nie miało to znaczenia. W środku wakacji na obszarze poza kołem podbiegunowym słońce nie zachodziło.

W samolocie, dzięki któremu pokonaliśmy ostatni etap podróży zaskoczył nas widok matek z dziećmi. Jedno z nich było naprawdę malutkie. – Nam się wydawało, że to taka ekstremalna wyprawa, a tu niemowlęta lecą... – zauważył ktoś z nas.

Okolice lotniska w Longyearbyen przywitała nas świecącym jasno słońcem i dość ciepłą temperaturą: aż osiem stopni powyżej zera! Na polu kempingowym, które wybraliśmy na miejsce pierwszego noclegu, panowała cisza. Nic dziwnego, już od dawna było po północy. Nam, nowicjuszom, trochę ciężko przychodziło mówienie szeptem. Wokół nas panował dzień, jasny i słoneczny. Rozsądek wziął jednak górę. Poszliśmy spać, w oczekiwaniu na kilka dni turystycznej przygody.

MARZENIE POWTÓRZONE?

Siedzę przy komputerze w szwajcarskim mieszkaniu. Za oknem widać plamy śniegu, pokrywające drzewa i trawniki. Jeśli nie nastąpią kolejne opady, wszystkie zamienią się w szarą, płynącą maź. Zurych jest piękny, ale dziś bez sympatii myślę o przechadzce wzdłuż zimnych, wietrznych ulic. Nie tęsknię do lata. Myślę o Spitsbergenie i jego uroczej stolicy Longyearbyen, o których pisałam tu kilka miesięcy temu, zaraz po powrocie z wyprawy. Teraz niezależnie od pory doby panuje

tam noc, a temperatury są o wiele mniej łaskawe od tych, które zastałam pierwszego sierpnia. Chyba jednak czas myśleć o przyszłorocznych wakacjach. Są marzenia, od spełniania których można się uzależnić.

Podczas przeglądania jednego ze znanych wszystkim portali internetowych obejrzałam obrazek dodany ostatnio w profilu znajomej. Była to mapa Svalbardu z wyraźnie zaznaczonym czerwonym punktem i opisem: „tu będę już jutro”. Pozazdrościłam. Nawet siarczystego mrozu da się zazdrościć.

Autor: Urszula Marczevska

Źródło: Wiadomosci24.pl